NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie K 16·30, Mk 10·90. Półrocznie K 32·60, Mk 21·80. Rocznie K 65·20, Mk 43·60. W Austryi: Kwartalnie K 16·30. Półrocznie K 32·60. Rocznie K 65·20. W Niemczech: Kwartalnie Mk 10·90. Półrocznie Mk 21·80. Rocznie Mk 43·60 z przesyłką pocztową.

Zmiana adresu 60 halerzy.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 1 kor., na miejscu specyalnie zastrzeżonem kor. 1·40, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 2 kor., za wiersz petitowy w części reklamowej 5 kor.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. Łódź, Piotrkowska 62.

Numer pojedynczy 1 kor. 30 hal. — 88 pf.

Rok XVI. | Kraków, 3 maja 1919. | Nr. 18

Generał Haller w Polsce.



Generał Haller wita kompanię honorową na dworcu warszawskim. (Fot. M. Fuks.).



Minister Leśniewski i generalicya oczekuje przyjazdu pociągu. **Generał Haller w Polsce:** Członkowie misyi koalicyi na dworcu.

Generał Haller w Polsce.

Długie pertraktacye, mające na celu skierowanie formacyi wojskowych Hallera ku obronie granic Polski, doszły do końca. Silnym zaporem były tu Niemcy, którzy nie chcieli pozwolić na transport wojsk drogą gdańską, a na co koalicya nie mogła znaleźć żadnego obalającego argumentu. Ale mniejsza o to, nie rozdrabniajmy tego, co już zaliczamy do przeszłości. Dziś Haller stoi na polskiej ziemi i to jest argumentem najsilniejszym przeciwko wszelkim zarzutom, skierowanym ku entencie, przez wielu pomawianej o złą wolę względem nas.

Ale czas już najdalszy. W chwili kiedy wszelką możliwością sił agitacya bolszewicka wsącza gorzki jad w żyły budującej się młodej Polski, trzeba nam wojska zdrowego i nie strawionego żadną waśnią społeczną, czy partyjną. Bo Hallerczycy stanęli na ziemi ojczystej nie poto, aby prowadzić politykę, ale aby zgnieść wroga wewnętrznego.

I nic dziwnego, że Warszawa z takim entuzyazmem witała Hallera, o którym już legendy krążyły. Bo dziś musimy mieć do dyspozycyi wszelkie rozporządzalne siły, bo budowę trzeba wnosić na mocnych i trwałych podstawach. Nie będą to zdawkowe słowa, jeżeli powiemy, że w armię polską musi obecnie wstąpić nowy, ożywczy duch zdolny usunąć wszelkie możliwe nurtujące fermenty. Dlatego musi się potępić wszelkie głosy rzucające na Hallera barwę tego lub owego stronnictwa, bo nie znamy stronnictw wobec twardej konieczności trzeźwego myślenia.

Równocześnie musi się poruszyć jeszcze jedną kwestyę. Na ostatniem zgromadzeniu socyalistycznem poseł Daszyński zwrócił się z gwałtowną repliką przeciwko rozdrabnianiu wojska na różne ugrupowania, zupełnie słusznie. Dziś przyszła nowa formacya — Hallerczycy. I mimowoli musi się znowu o temsamem pomyśleć: mamy znowu X tą armię. Czy nie powinno się wreszcie kordony przełamać i stworzyć jedno polskie wojsko? Wiemy, że wojska Hallera stanowią potężny mur przeciwko bolszewikom, wiemy, że trzymając się zdala od wszelkiej agitacyi komunistycznej stanowią zdrowy materyał. I czy to wojsko nie mogłoby stanowić element budujący wprost w przeciwnym duchu. Nie mówimy tu o bolszewizmie w naszej armii, bo o tem i mowy niema, ale pamiętajmy, że w dzisiejszych czasach przewrotów i fermentów społecznych nie wolno najmniejszej rzeczy traktować z szerokim gestem.

Generał Haller na ziemi polskiej, o tem wszyscy teraz mówią. I równolegle mówi się o drugim wodzu — Piłsudski w Wilnie. Zupełnie przypadkowe zestawienie, a jednak nasuwające tyle nowych myśli. Dziś Piłsudski stoi wobec szerokiej swojej przeszłości, a z tem sączy się życzenie, aby Haller stanął wobec podobnej przeszłości i spokojnie odpowiedział na słowa Focha, który żegnając odjeżdżającą armię polską pisał do Hallera: „Nie wątpię ani na chwilę, że dzielni ci Polacy złączeni już pod jednym sztandarem Orła Białego zapełnią głoskami złotemi nową kartę wspaniałej już i tak historyi polskiej“ — że obowiązek spełnił.



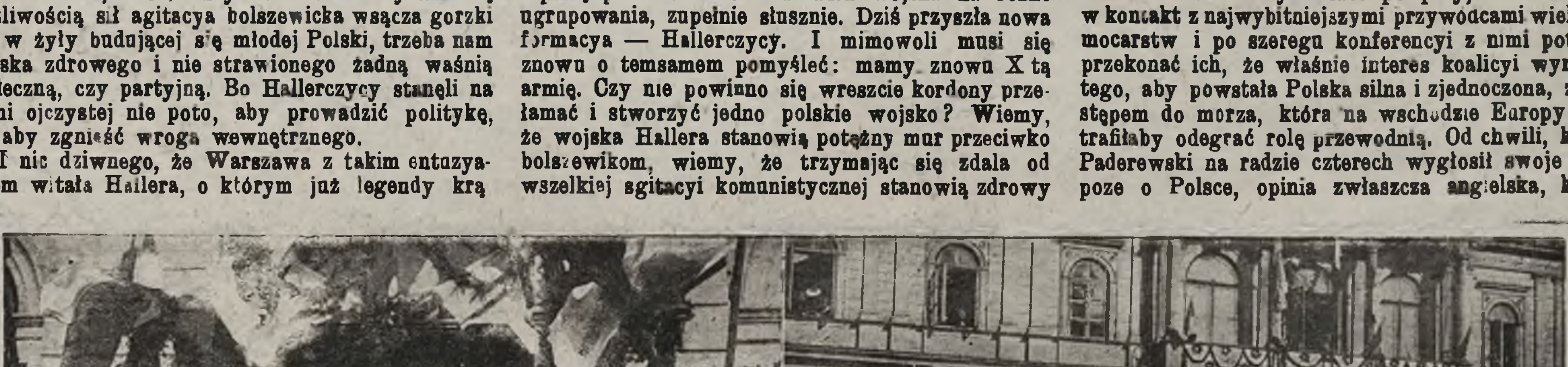
Generał Haller w Polsce: Konferencya generała Hallera z generałem Henrysem w Paryżu

---

Paderewski w Paryżu.

Zdolności dyplomatyczne prezydenta ministrów Paderewskiego zabłysły w całej pełni dopiero, kiedy przed kilkunastu dniami udał się do Paryża, aby jako przedstawiciel Polski wziąść udział w konferencyi pokojowej. Jak pisma francuskie donoszą przyjęto Paderewskiego w stolicy Francyi z wielkim entuzyazmem. Podczas swego długiego pobytu na obczyźnie potrafił bowiem Paderewski pozyskać sobie przychylność najwybitniejszych mężów stanu koalicyi i sympatye nie tylko osób, ale narodów. Do chwili pojawienia się Paderewskiego na widowni paryskiej sprawa polska w obradach przedstawicieli koalicyi stanowiła punkt niewyjaśniony. Nie umiano, czy nie chciano rozstrzygać tej kwestyi spychając ją na coraz dalszą metę. Dopiero jego przybycie przyniosło rozstrzygający wzrot.

Paderewski natychmiast po przyjeździe wszedł w kontakt z najwybitniejszymi przywódcami wielkich mocarstw i po szeregu konferencyi z nimi potrafił przekonać ich, że właśnie interes koalicyi wymaga tego, aby powstała Polska silna i zjednoczona, z dostępem do morza, która na wschodzie Europy potrafiłaby odegrać rolę przewodnią. Od chwili, kiedy Paderewski na radzie czterech wygłosił swoje ekspoze o Polsce, opinia zwłaszcza angielska, która



Generał Haller przemawia do zgromadzonych **Generał Haller w Polsce:** Przed dworcem kolejowym.



Ambasador Noulens i gen. Niessel oczekują przybycia Paderewskiego w Paryżu.



Paderewski w Paryżu: Państwo Paderewscy w wagonie kolejowym



Paderewski i gen Haller na dworcu paryskim

dotychczas była dla Polski nieprzychylnie usposobiona, doznała znamiennego złagodzenia, a zarazem prace komisyi polskiej zaczęły postępować raźno naprzód.

Amerykanie w ojczyźnie.

Jako pierwsze zwiastuny prawdziwego pokoju rozpoczął się już powrót wojsk amerykańskich do ojczyzny. Wprawdzie jeszcze nie podpisano układu pokojowego i Niemcy wszelkimi sposobami usiłują wmówić w świat, że nie poddadzą się wyrokowi świata nad ich butą, ale Amerykanie którzy oceniają odpowiednio te czcze pogróżki rozpoczęli już częściową demobilizacyę w tem przekonaniu, iż zdruzgotane Niemcy zostaną w razie potrzeby ubezwładnione silną ręką francuską i angielską.



Ojciec Francyi: Clemenceau rekonwalescentem po zamachu

Okręty handlowe i wojenne. które mają przywieźć do Europy żywność amerykańską odwożą do Ameryki tysiące wojsk amerykańskich z francuskiego frontu. Przyjęcie, jakie swym bohaterom Ameryka zgotowała, było wprost entuzyastyczne. Miasta amerykańskie przybrały odświętną szatę, a bohaterów z zachodniego frontu witano kwiatami, przemowami i wielkiemi uroczystościami. Amerykanie zabrali ze sobą część łupów wojennych, zdobytych na Niemcach. które jako trofea ozdobią rynki i place amerykańskich miast.

Zjazd socyalistyczny w Bernie.

W początku tego miesiąca obradowała w Bernie Szwajcarskiem międzynarodowa konferencya socyalistyczna. Jak wiadomo, od początku wojny socyaliści państw wojujących oddawali się temu złudzeniu, że potrafią przy pomocy wspólnego porozumienia się międzynarodowych organizacyi socyalistycznych doprowadzić do zakończenia wojny. Dążenie to okazało się jednak złudnem z tą chwilą kiedy ideały



Paderewski w Paryżu Ostatnie posiedzenie warszawskiej rady ministrów przed wyjazdem Paderewskiego

międzynarodowe, głoszone przez przedstawicieli socyalizmu w państwach wojujących ustąpiły miejsca poczuciu solidarności narodowej. Usiłowania zwołania takiej konferencyi socyalistycznej, która zarazem stałaby się konferencyą pokojową nie udały się. Z jednej strony wystąpili socyaliści koalicyi odma-



Gen. Haller w Polsce: Przywitanie gen. Hallera przez ambasadora Pralona na dworcu w Warszawie.

wiając Niemcom prawa udziału w niej, jako tym, którzy wojnę zawinili, z drugiej zaś rządy państw koalicyjnych w czasie trwania walk nie życzyły sobie zetknięcia się ze sobą żywiołów radykalnych i nie wydawały poprostu paszportów na podróże.

Obecnie kiedy wojna już się likwiduje, konferencya taka doszła do skutku. Nie przybrała ona jednak charakteru, jaki pragnęliby jej byli nadać niektórzy z inicyatorów. Poza manifestacyą solidarności międzynarodowej w sprawie zażegnania konfliktów światowych nie uczyniła nic istotnego, mimo, że udział w niej brali najwybitniejsi przedstawiciele partyi socyalistycznych całego prawie świata. Obrady trwały kilka dni i zakończyły się uchwaleniem szeregu rezolucyi, które nie posunęły jednak zupełnie naprzód kwestyi pokoju światowego.

Podajemy szereg illustracyi przedstawiających wybitnych uczestników tych ciekawych obrad.



Gen. Haller w Polsce Entuzyastyczne powitanie gen. Hallera na dworcu warszawskim.

Wojsko polskie na froncie.

Stworzenie silnej organizacyi wojskowej w Polsce jest dzisiaj pierwszym, prawie naczelnym postulatem narodowym. Okazuje się bowiem, że gdybyśmy w chwili dziejowego przewrotu z przed kilku miesięcy byli posiadali istotnie silną armię, bylibyśmy dyktowali warunki w sprawie ukształtowania się politycznego położenia na wschodzie Europy.

Ubiegli nas w tem Czesi, którzy potrafili opanować bezład demobilizacyjny znacznie szybciej niż my i w chwili stanowczej mieli dość wojska nie tylko na obronę własnych granic, ale także na daleko idące aneksye. Zaniedbania te starają się obecnie nadrobić czynniki, w których ręku spoczywa sprawa organizacyi wojskowej polskiej i praca ta postępuje bardzo skutecznie naprzód.

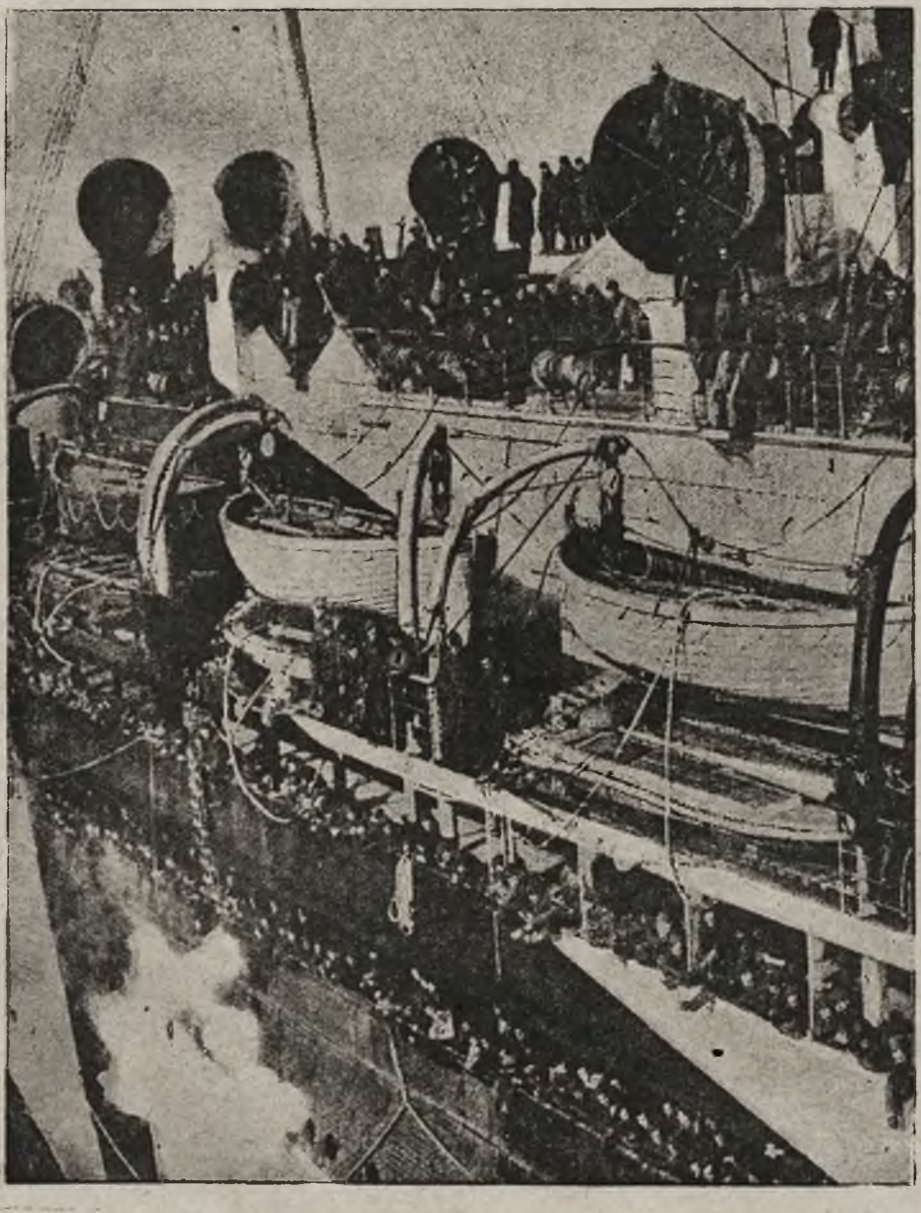
Społeczeństwo nasze zrozumiało, że aby ocalić siebie musi pracować nad ocaleniem naszych kresów, o które Polska zacięte staczać musi boje i daje chętnie ochotnika, który ciągnie pod sztandary ojczyste. Odżywają stare formacye wojskowe, które pracowały na początku wojny tworzą się nowe, które zbierają chlubne karty w walkach o Lwów, lub Śląsk.

Powołane z powrotem do życia dekretem Naczelnego Wodza Legiony polskie, po zorganizowaniu się i uzupełnieniu odchodzą znów na front. Tymi dniami z głównego obozu ich postoju, Jabłonna—Legionowo odchodzą transporty pułków Legionowych, żegnane przez komendanta I Dywizyi Legionowej generała Roję i brygadyera Leszczyckiego.



Zjazd socyalistyczny w Bernie: Szwed Branting i prezes ministrów bawarskich dr. Eisner.

Wśród walczących na froncie jednostek bojowych każda ma już dzisiaj swoją historyę bohaterską i o każdej wiele możnaby napisać. Wspomnimy tutaj o jednej z takich formacyi, mianowicie o oddziale porucznika Kosiby. Oddziałek ten zapisany dobrze w dziejach walk ostatnich.



Amerykanie w ojczyźnie:
Wojska amerykańskie wyruszają z Europy.



Wojsko polskie na froncie: Komendanci oddziału por. Kosiba (1), lekarz grupy dr. Bylicki (2), zast. lekarza ppor. Sufczyński (3), adj. ppor. Chomicz (4), komendanci pododdziałów (5—8).

W. Horowicz.

Bitwa nocna.

(Wspomnienia wojenne).

— Hej, Staszek! Wstawać i ubierać się! — rozległ się nagle donośny głos sierżanta Reckiego w ziemiance. W mrokach nocnych poruszyło się kilka postaci, które poowijane w koce drzemały na słomie.

— Moglibyście sierżancie po nocy nie hałasować, przecież porządni ludzie chcą spać.

— Jaki mi tam porządny! Dobrze, że cę nie widzę, bo pewnie guziki poobrywane i nieumytyś już od tygodnia. No, Staszek, nie marudź!

Młody żołnierz opasał pas z nabojami, wziął z kąta karabin i stanął w wejściu.

— Jestem, sierżancie.

— Pójdziesz do sztabu pułku i zameldujesz się na ordynansa. Zdaje się, że dzisiaj nad ranem będzie wesoło.

Na te słowa za plecyma Staszka zrobił się ruch. Słoma zaszeleściała i nagle ukazało się kilka głów w otworze.

— Sierżancie, drogi obywatelu sierżancie, co będzie takiego?

— Acha, smyki, teraz to sierżant drogi, a przed chwilą...

— No, każdy przecież zły, jak go ze snu budzić — tłumaczył Wesołowski — ale nasz sierżant morowy chłop, wie że my wszyscy za nim w ogień. No, powiedzcie, obywatelu.

— Już go podpuszcza — szepnął Kazek do ucha Staszka.

Recki spojrzał wesoło, czuły był na dobre o nim mniemanie.

— To jeszcze tajemnica, za godzinę dopiero będą was budzić! Ale powiem, powiem wam. Robimy dzisiaj w nocy atak.

— Jakto! Naprawdę?! — miny przeciągnęły się trochę. — Jakżeż my poleziemy pod tę górę, przecież wszyscy twierdzą, że Pińczowskiej góry nie zdobędziemy atakiem!

— No, no, jakoś to będzie — pocieszył Recki. — Chodź Stachu!

Ruszyli spiesznie okopem. Noc cicha rozpostarła się już dokoła. W oddali, w poświacie gwiazd majaczyła góra Pinczowska, która, jak niezdobyta forteca, panowała nad okolicą. Moskale umocnili ją doskonale. W dzień z okopu widzieć można było szeregi rowów strzeleckich, które biegły wzdłuż zbocza góry. Krzyżowały się one, zbiegały i rozbiegały w różnych kierunkach. Nida i błotniste łąki broniły dostępu. Od kilku miesięcy stały już Legiony naprzeciwko tej silnej pozycyi. Wybudowano doskonałe umocnione okopy, strzelcy zagrzebali się w ziemię i odpoczywali po trudach poprzednich miesięcy Sztab brygady rezydował w Mierzwinie, komendy pułków w kilku wsiach, które szczęśliwie ocalały wśród zawieruchy wojennej.

„Stosunki" z Moskalami były znośne. Od czasu do czasu mała pukanina przerywała rozmowy, wesoło prowadzone z jednego brzegu Nidy na drugi. Aż nagle od kilku dni wszystko się popsuło. Chodziły głuche wieści, że Moskale lada dzień zaczną się cofać, że przełamano im front w Galicyi. To też wiadomość o rozpoczęciu akcyi bojowej na tym odcinku zdawała się Staszkowi być jeno potwierdzeniem tych wieści.

Szybko przemknęli się przez puste pole między okopami a wsią. Po drodze przyłączył się do nich jeszcze drugi ordynans, stary Grabiński, bywalec wojenny, który od początku walczył w szeregach Legionów. Minęli dwa, trzy domy na skraju wioski. Okna szczelnie zasłonięte nie przepuszczały światła. Cała wieś zdawała się przez to jakby wymarła, a przecież dzisiaj wrzało tu gorączkowe życie. Raz po raz z cieniów nocy wyłaniała się jakaś postać otulona w szary płaszcz, cicho przemykała się między domami i ginęła.

Staszek z Grabińskim znaleźli zaraz komendę pułku, gdyż chodził przed nią posterunek wojskowy. Uchylając koca, który zamykał wejście, weszli do pierwszej izby. Na stole dźwięczał telefon, pod ścianami siedziało kilku telefonistów i żołnierzy. Przy stole adjutant pułkownika odbierał raporty i meldunki.

Staszek wyciągnął się jak struna.

— Obywatelu adjutancie, ordynans pierwszego batalionu melduje się posłusznie!

— Dobrze. Zostańcie w tej izbie.

Grabiński zameldował się jako ordynans trzeciego batalionu. Obaj usiedli potem w kącie przy telefonistach. Przez otwarte drzwi Stach spojrzał do wnętrza drugiej izby. Na łóżku, wpół rozebrany, leżał major Smigły, dowódzca pułku. Z twarzy młodej, okolonej zarostem, tryskała wesołość. Kilku oficerów grało przy stole w karty i raz po raz wesołe wybuchy śmiechu towarzyszyły żartom, rzucanym w kierunku majora. Dziwiła go też niefrasobliwość, jaka tu panowała, dziwiła i radowała. Za kilka godzin miała rozgorzeć bitwa zacięta, niejeden z tych, co tu teraz tak wesoło czas spędzali, mógł już nie wrócić więcej z okopów, a tymczasem w tej chwili nie myślano tu o tem zupełnie.

Grabiński przerwał mu rozmyślania. Szturchnął go energicznie w bok

— Hej! obywatelu, nie wiecie jak długo my tu posiedzimy? Możeby tak można kimnąć*) trochę!

Stach wzruszył ramionami.

— Pewnie dzisiaj spać nam nie dadzą.

Grabiński niezadowolony z odpowiedzi burknął pod nosem jakieś dosadne przekleństwo, wtulił się w kąt i usiłował usnąć. Ale w tej chwili terczeć zaczął telefon i ruch zrobił się w izbie.

— Halo! Pierwszy pułk! — wołał telefonista, słuchał chwilę, odłożył potem szybko słuchawkę i skoczył do sąsiedniej izby.

— Panie pułkowniku! Brygadyer Piłsudski będzie tu za chwilę.

— Co? Teraz w nocy?

— Tak. Właśnie telefonowano z brygady.

W jednej chwili karty znikły. Pułkownik pospiesznie zarzucił na ramiona mundur, poczem zasiadł za stołem, przeglądając i przygotowując raporty. Stachowi serce biło. Jak wszyscy Strzelcy czcił i kochał swego wodza, chociaż dotychczas widywał go tylko od czasu do czasu i to zdaleka. Ucieszył się, że nareszcie ujrzy go z blizka. Czekał więc niecierpliwie. Mijały minuty.

Wreszcie na drodze w ciszy nocnej rozległo się przytłumione człapanie kilku koni. Zatrzymały się przed chałupą, a w tejże chwili adjutant pułkowy skoczył do drzwiom otwierać. Derka podniosła się i oczom wpatrzonego w nią Stacha ukazał się „dziadzio". Wszyscy zerwali się na równe nogi i wyciągnęli jak struny. Piłsudski rozejrzał się po izbie, skinął im ręką.

— Jak się macie? — i szedł witać się z pułkownikiem. Za nim w obramieniu drzwi pojawiła się wysoka postać szefa sztabu, Sosnkowskiego. Nerwowo poprawił cwikier i zaraz wziąwszy na bok komendanta trzeciego batalionu, zaczął z nim ożywioną rozmowę. Przybyło jeszcze kilku oficerów, obie izdebki wypełniły się głośnym rozgwarem.

Stach zapatrzony w postać brygadyera, przywarł plecyma do ściany. Piłsudski usiadł przy stole, po chwili zbliżył się do niego szef sztabu i razem z pułkownikiem rozpoczęli półgłosem naradę. W miarę rozmowy brygadyer zapalał się, oczy ciskały błyski, krótkiemi, urywanemi zdaniami tłumaczył coś pułkownikowi.

Nagle pułkownik wyprostował się.

— Proszę panów, są dyspozycye! — rozległ się jego dźwięczny głos. W jednej chwili rozmowy urwały się, a wszyscy skupili się koło stołu.

Stach nie mógł już patrzeć na brygadyera. Zwrócił się do Grabińskiego.

— Widziałeś?

— E! ja go znam dobrze. Morowy chłop, a w ogniu jaki spokojniutki. Widziałem go pod Laskami. Szrapnele nad głową mu pękały, a on ani drgnął. Tak, tak, z nim to hej wojować. Zobaczysz, jaki tu ruch zaraz będzie.

Istotnie narada skończyła się właśnie. Oficerowie grupkami wymykali się na pole, każdy dążył na swoje stanowisko. Brygadyer z szefem sztabu pozostali jeszcze u pułkownika.

Równocześnie telefon zaczął pracować ze zdwojoną energią. Szły rozkazy za rozkazami, raporty z bateryi, zapytania do okopów. Adjutant zasiadł przy telefonistach i pracowali wytężenie razem. Z połatanych urywków rozmów i rozkazów dowiedział się Stach, że na całej linii ma być nad ranem wykonany atak pozorny, pionierzy mają nawet próbować stawiać most na Nidzie. Chodzi o to, aby Moskale myśleli, że na tym odcinku planowane są jakieś większe operacye.

— Ordynans pierwszego batalionu — zabrzmiał nagle głos pułkownika.

Staszek skoczył do drugiego pokoju i sprężył się przy drzwiach w oczekiwaniu. Pułkownik podał mu kopertę.

— Macie tu, zanieście waszemu komendantowi a spieszcie się.

— Rozkaz obywatelu pułkowniku — Staszek wpatrzony w brygadyera salutował. Ten spostrzegł widocznie jego gorący wzrok, gdyż uśmiechnął się.

— A pozdrówcie tam waszych towarzyszy, obywatelu — dorzucił. — Jakże wam tam w okopach?

— Dobrze, obywatelu brygadyerze. — Staszek czuł, że rumieńce biją mu na twarz. Szybko za rękaw schował kopertę i w moment znalazł się na drodze.

Noc była głucha. W oddali majaczyły zarysy góry Pińczowskiej. Od czasu do czasu wystrzelała gdzieś świetlna raca, jak meteor przecinała powietrze i opadała powoli świecąc jasno. Zwłaszcza rosyjskie rakiety sprawiały piękne wrażenie, gdyż rozpryskiwały się w górze w całe bukiety jasnych gwiazd. Staszek prawie biegiem dopadł okopów. Odszukał komendanta i oddał mu rozkazy.

— Wracajcie do siebie — usłyszał.

W ziemiance gwarno już było. Cała linia była już zaalarmowana, wszyscy ubrani opatrywali broń. Tu i ówdzie ktoś potajemnie w kącie palił papierosa „na rozgrzewkę". Stacha otoczono zaraz dokoła.

— Ty, ordynans, gadaj, co tam będzie.

— Mamy robić pozorny atak. Prania na prawdę nie będzie.

— Ha! ha! nastraszymy Mochów, ano dobre i to. Będzie frajda. To i artylerya pewnie łupnie uczciwie?

— Podobno, ale nie długo już, a zacznie się.

— To nad ranem mamy się bawić?

— Tak. Ale wiecie chłopcy, brygadyer Piłsudski jest u naszego starego. Kazał was wszystkich pozdrowić.

— Co, tyś z nim gadał?

— Ot, przed chwilą. Pytał się jak nam się tu powodzi.

— Hurra!

Okrzyk został nagle stłumiony energicznem uderzeniem w plecy.

— Psie dusze, czy chcecie waszym krzykiem Moskali wystraszyć? Także znaleźli czas na gadanie.

— Panie poruczniku, jak Boga kocham, to na cześć brygadyera naszego.

— Wszystko jedno, jest rozkaz, aby było cicho w okopach.

Porucznik poszedł dalej rowem.

W pół godziny potem wszyscy stali na stanowiskach. Obok każdego żołnierza na parapecie rowu szarzały paczki z nabojami. Wszyscy czekali. Mijały kwadranse w zupełnej ciszy.

Stach miał pozycyę na załamaniu rowu, tak, że mógł widzieć nietylko całe przedpole i górę Pińczowską, ale także znaczną część przestrzeni za pozycyą. Ułożył sobie wygodnie karabin, nabił, nastawił celownik, o ile ciemności na to pozwalały, potem oparł się o szkarpę i słuchał. Zrazu cisza trwała nieprzerwana. Wszystko zdawało się zasypiać głęboko. Nawet rakiety przestały oświetlać przedpola, jakby i one chciały odpocząć.

Nagle, gdzieś bardzo daleko huknął strzał armatni. Pogłos przypłynął z powiewem wiatru, ale nie odpowiedziało mu nic, więc znowu trwała cisza. Widocznie jednak był to umówiony sygnał. Właśnie Stach pochylił się, aby przez strzelnicę spojrzeć ku Pińczowu, gdy krótki blizki wybuch wstrząsnął powietrzem. Za nim rozległ się drugi, trzeci, czwarty, równocześnie w głębi ciemnych przestworzy coś zaczęło jęczeć i skowytać. Stach znał już ten głos. Leciały pierwsze pociski artyleryjskie. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej przestworza nocne ożyły, rozbudziły się. Baterya za bateryą wchodziła w ogień a ponad okopami zaczęły krążyć z nieustającym wprost skowytem granaty i szrapnele. Huk wstrząsał ziemią, od wybuchów osypywał się piasek w rowie.

Góra Pińczowska stanęła cała w ogniu. Kilka bateryi ziało na nią równocześnie granatami. Wybuchało ich chwilami naraz piętnaście i więcej. Na tle czarnego nieba z góry wybuchały płomienie, jakby wulkan jaki otworzył swój krater.

*) Kimać, w gwarze znaczy spać.

Nim jedne wybuchy zgasły, nadlatywały już nowe pociski i znowu grad żelaza spadał na rosyjskie okopy. Chwilami wybuchy były tak silne i liczne, że płomienie obejmowały całą górę, a widać ja było jak w dzień. Artylerya rozpoczęła ogień huraganowy.

U Moskali wszczął się ruch i zamieszanie. Rakiety świetlne zaczęły lecieć w górę coraz liczniej. Znać było, że w zdenerwowaniu świecą, bo się boją. Ale huragan granatów i szrapneli przeleciał zaraz po okopach, skąd rakiety strzelały i wszystko zagasło. Artylerya rosyjska, która zrazu milczała, zaczęła odpowiadać, ale zrzadka. Mimo to Stach wyraźnie odróżniał wśród tego piekła charakterystyczny huk armat rosyjskich.

Po tej stronie Nidy panowała jeszcze cisza. Oddziały pionierów powoli skradały się do rzeki, aby zaskoczyć Moskali i spróbować przeprawy. Widocznie jednak wreszcie Moskale spostrzegli ten manewr. Okopy rosyjskie rozbłysły od salw, a rój kul karabinowych zaczął brzęczeć wokoło, jak pszczoły.

– Ognia! – padł nagły rozkaz.

Wstęga błysku przeleciała wzdłuż okopów. I odtąd salwa za salwą zaczęły grzmieć bezładnie. Dookoła otworzyło się istne piekło. Stach, podobnie jak inni, automatycznie prawie strzelał, nabijał i znowu strzelał. W ciemną noc leciały tysiące kul, napełniając powietrze hukiem, jękiem i drżeniem.

Ziemia drżała od huku, ale artylerya nie ustawała w swej pracy. Na szańce rosyjskie wciąż spadał grad żelaza.

Pionierzy próbowali robić most. Z odwagą szli pod ogniem, kilku pierwszych śmiałków kule dosięgły, ale wreszcie rzucono pierwsze kilka belek i robota się rozpoczęła. Moskale spostrzegli to. Znowu rakiety poleciały w górę, a wraz z niemi coraz gęstrze salwy. Aby nie tracić na darmo ludzi, pionierzy cofnęli się w porządku.

Blizko godzinę trwała ta ogniowa walka. Świt rumienił już nieboskłon, kiedy nareszcie strzały zaczęły przycichać.

Stach czarny od dymu, rzucił wreszcie rozpalony karabin na okop i z pełnej piersi odetchnął. Stos pustych nabojów leżał u jego nóg. Pot kroplami ściekał mu z pod czapki.

Wstający dzień powitano rozgłośnem hurra! poczem ogień zupełnie umilkł. Napad ogniowy nocny był skończony.

– Hej chłopcy, kawa! – rozległ się donośny głos sierżanta Reckiego.

Zadzwoniły menażki, a wraz z nimi wesołe koncepty. Nocna walka przyniosła bardzo małe straty. Kilku kule rosyjskie porozrywały ubranie, dwóch było rannych. „Zabawa" udała się doskonale.

KONIEC.

Bolszewicy na Węgrzech.

Już od patentu grudniowego (1867) przyswoili sobie Węgrzy psychikę i ideologię berlińską, która z czasem stała się codziennem przykazaniem buda peszteńskiego rządu.

I o ile Prusy położyły swoje placet pod projektem utworzenia komisyi kolonizacyjnej mającej wszelką gwarancyę opieki rządowej w przeprowadzeniu „idei" wywłaszczenia ziem polskich, o tyle Madziarzy będąc w niedalekiej perspektywie miniaturą pruskiej metody, stosowali równie radykalne środki celem zgniecenia narodowości historycznie do nich należących; i poco sięgać po dalekie przykłady — przecie rękę węgierskiego żandarma poczuli i nasi bracia z za Tatr: Spisz i Orawa — w myśl „wielkiej" przesłanki madziarskiej jedności z Polską; to przecie rekompensata za Bema i innych. Obecnie po przegranej wojnie konieczność każe zrezygnować z wszelkich zakusów „unarodowienia" Chorwatów, Serbów, Rumunów, Słowaków i Polaków, więc ziemia usunęła się pod nogami, przed oczami stanęła dola zrzeczenia się roli bata hegemonii. Ale po sprawiedliwość droga niedaleka, ot za ścianą. I to geneza komunistycznej rewolucyi na Węgrzech.

Jako uzupełnienie musi się podkreślić fakt, że podobnie, jak w Rosyi, rewolucyę i tutaj wywołali Niemcy. Wiele dowodów wskazuje, że już przed ustąpieniem Karoly'ego porozumiewano się z Leninem i Trockim, w sprawie wspomagania Węgier



Ojciec Francyi: Mieszkanie Clemenceau w Paryżu.

przeciw koalicyi, że zaś Niemcy tym ruchem kierowali, wskazuje ich dotychczasowa polityka względem ententy. Naturalnie, nie działali tu z dobrego serca, albo z wielkiej miłości dla Węgier — byłoby to śmieszne; grał tu rolę tylko i tylko interes, który wskazywał dobre strony urządzenia malutkiej komedyi celem wybadania najpraktyczniejszego postępowania względem koalicyi. Jeżeli Węgrom uda się uzyskać jakiekolwiek ustępstwa z przedstawionych warunków pokojowych, wtedy rzuci się między naród hasło odwetu za imperyalistyczną politykę sojuszników — samo przez się zrozumiałe w wspólnej wycieczce z panem Leninem i Trockim pod rękę: to dobre serce i idea komunistyczna Niemców.

Wypadki jednak nie dadzą się wstrzymać, płyną zwartą falą nieubłaganej konieczności. Rewolucyi bolszewickiej na Węgrzech idąc wiernie drogą interpretacyi duchowych przewodników Rosyi, poczyna braknąć tchu do życia. To ta żydowska interpretacya dławi i zaciska palce na gardle.

Mówi się o głodzie. Fryderyk Adler znany ze swego skrajnie socyalistycznego stanowiska w odpowiedzi na wezwanie Budapesztu do udziału w bolszewickim przewrocie, motywuje odmowę głodem, zwalając całą winę na „antysocyalistyczny" kierunek polityki ententy. Zapomniał jednak o Rosyi, która ma tyle ziemi, że mogłaby drwić z zapasów koalicyi. dziś dziesiątkowanej głodowym tyfusem. Czy jednak nie sama zżydziała idea bolszewicka jest przyczyną zamarcia wszelkiej wytwórczości środków spożywczych, jak wogóle wszelkiej planowej produkcyi.



Wojska polskie na froncie: Odjazd drugiego pułku piechoty Legionów na front z Jabłonnej. 1) generał Roja, 2) brygadyer Leszycki, 3 major Trojanowski, 4) major Więckowski. (Fot. Bernstein.

I konsekwentnie zmienia się położenie i dziś komuniści na Węgrzech są w zachodzie słońca. Czując brak przewodniej myśli w działaniu i widząc degenerujące skutki tak pod względem kulturalnym, jak i społecznym idei żydowskiego mistrza, zgadzają się na utworzenie gabinetu koalicyjnego, rezygnując z decydującej roli w Europie, o której z taką pewnością mówił członek bolszewickiego rządu na Węgrzech dr Poganyim: „Cała Europa środkowa najdalej do dwóch miesięcy utworzy zwarty blok państw sowietowych".



Zjazd socyalistyczny w Bernie: Najwybitniejsi przedstawiciele socyalizmu międzynarodowego.



Bolszewicy na Węgrzech: Bella Kuhn, przywódca bolszewików węgierskich.

Kolejarze na rzecz Polski.

Dowody silnej zwartości organizacyjnej dali nasi kolejarze już kilka razy. Pamiętamy ich sprężystość i planowy ład w proteście po traktacie brzeskim. Dziś przekonywujemy się o ich głębokiem poczuciu patryotyzmu zdolnego do poświęceń bardzo dalekich. I za tem przemawiają nie gołosłowne twierdzenia, ale fakty jaskrawo wskazujące jak trzeba myśleć po polsku. Cały szereg organizacyi zawodowych spieszy na każdym kroku z wydatną pomocą budującej się Ojczyźnie.

Dnia 19. marca komitet pomocy „Kolejarzy dla Lwowa" zadeklarował dla głodnych Lwowian 35 tysięcy koron.

Obecnie związki kolejarskie rozwinęły szeroką propagandę na rzecz pożyczki państwowej.

Nie brak przy tem pomysłów bardzo oryginalnych. Tak na przykład kolejarze w Kielcach zorganizowali propagandę przy pomocy lokomotywy kolejowej. Przybrano ją w oryginalne napisy reklamowe i w ten sposób lokomotywa ta pełniąc swą służbę zarazem wysługuje się sprawie polskiej agitując swym wyglądem na rzecz pożyczki państwowej. Inicyatorem tej oryginalnej reklamy był naczelnik depot kieleckiego A. Borsukiewicz. Pomysł okazał się bardzo skuteczny o czem świadczy znaczna kwota subskrybowana wśród sfer kolejowych.



Zjazd socyalistyczny w Bernie: Czterej znani socyaliści Thomas i Longuet (Francya), Henderson i St. Cunning (Anglia).



Kolejarze na rzecz Polski: Reklamowa lokomotywa pożyczki polskiej. W grupie stoją (X) inżynier J. Mrozowski, (XX) dyrektor ruchu M. Butkiewicz, (XXX) naczelnik A. Borsukiewicz, (0) dyrektor telegrafu inżynier Pliszkiewicz.

Leon Daudet.

Serce i nieobecność.

(Z francuskiego tłom. Marya Jadwiga Migowa).

12

Tem zapewnieniem pożegnała go Zasłoniła twarz bardzo gęstą woalką i szła szybko, rozglądając się wokół. Tymrazem lękała się naprawdę. Czuła strach przed Ginettą, przed jej przenikliwością, przed zemstą brzydkiej zazdrosnej kobiety.

A Ginetta tymczasem tropiła dalej niby wytrawny detektyw zawodowy. Znała dobrze perfumy Marion i węszyła co dnia swoim wielkim nosem ten zapach we włosach i na szyi męża. Ale przezorna Marion przestała perfumować się.

Ginetta zaobserwowała nieraz, że kochankowie jeszcze w większym stopniu niż małżonkowie, przyswajaja sobie wzajemnie pewne wyrażenia i ruchy. Znając dokładnie oboje przy puszczalnych winowajców mogła z łatwością spostrzedz takie zapożyczenie, będące zawsze wynikiem bardzo blizkiego, poufałego stosunku. Klaudyusz jednak miał się na baczności i unikał starannie tych analogii. Ostrożność swoją posunął nawet do tego stopnia, że przed nocą zażywał pewien środek, chroniący przed mówieniem przez sen.

Ginetta szpiegowała i śledziła wytrwale, mąż równie wytrwale zbijał ją z tropu. zacierał ślady za sobą. Była to walka ciągła, wyczerpująca, bolesna, w której przeciwnik bardziej impulsywny, mniej chytry musiał w końcu być pokonany.

W stosunku do Marion. Ginetta nie zadawała sobie trudu w szpiegowaniu. Panując zresztą nad sobą doskonale, nie zmieniła się pozornie wcale dla przyjaciółki. Traktowała ją taksamo jak dawniej, snując jednocześnie plany najbardziej wyrafinowanej zemsty wrazie, gdyby jej podejrzenia okazały się prawdziwemi.

Pani Etiennant poczynała obecnie żałować Ksawerego.

— Byłby narzędziem w mojem ręku — myślała.

Zestawiła sobie całą listę osób. mogących jej udzielić jakichś informacyi. Pierwszą na tej liście była pani Lebien, która zamieszkała obecnie razem z córką.

Ginetta okazywała niezwykłe względy pretensyonalnej staruszce, jednając sobie w ten sposób jej życzliwość i zaufanie. Zdołała jednak wydobyć od niej tylko tyle, że charakter Marion od czasu otrzymania smutnej wiadomości o mężu uległ zmianie, chociaż młoda kobieta nie wyrzekła się rozrywek towarzyskich.

— Myślałam, że przestanie bywać w świecie. Bynajmniej jednak. Marion utrzymuje stosunki ze wszystkimi dawnymi znajomymi. ale straciła swoją dawną wesołość i werwę. Z Grantouvrem widuje się prawie codziennie.

Tosamo powtórzyła doktorowej pani Darmelle z wyraźnym odcieniem surowości w głosie:

— Pani posiada wpływ na moją synową... Niech pani zechce wytłomaczyć jej. aby włożyła prawdziwą żałobę. Te kompromisowe barwy fioletowo-czarno białe doprowadzają mnie do rozpaczy. I jej smutek jest także zbyt wstrzemięźliwy. Mojego syna nie tak powinno się opłakiwać.

Kiedy jednak Ginetta, zachęcona temi skargami, nalegała o jakieś bliższe szczegóły z codziennego życia Marion, pani Darmelle milkła. Nie chciała kompromitować się. Znać było jednak po niej, że coś jej kamieniem leży na sercu.

Na niedyskrecyę służącej Fanny nie było co liczyć, bo ta uwielbiała swoją panią i dałaby się raczej jak to mówią „pokrajać w kawałki" niżby miała cośkolwiek zdradzić.

Pozatem Fanny była głupia i mało spostrzegawcza. Felicyta Grantouvra miała więcej sprytu, ale cóż z tego kiedy ona podzielała sympatye swego pana dla „pani Ksawerowej".

Pozostawał personal szpitala: lekarze, pielęgniarki, medycy, którzy widywali codzień swego szefa i interesowali się jego zachowaniem.

Ginetta zdecydowała się zbliżyć do tego środowiska. które dotychczas traktowała z wysoka, z pewną pogardą. Jęła odwiedzać szpitale, przynosić podarki dla chorych i rannych, badając ich i wypytując przytem.

Nie umiała jednak wziąć się do tego i zamiast okazać się uprzejmą, dotykała swoją natarczywością i złośliwym chichotem.

Niemniej dowiedziała się, że Klaudyusz zaniedbuje kiedy niekiedy swe obowiązki lekarskie na ulicy Demans i wyręcza się młodszymi kolegami w wieczornych godzinach.

Można to było wprawdzie wytłomaczyć praktyką prywatną. Tak ceniony lekarz jak doktor Etiennant, gdziekolwiekby się znajdował, nie mógł być pewnym chwili spokoju. Ustawicznie wzywano go do chorych I te właśnie liczne zajęcia Klaudyusza tworzyły alibi dla niego, które nie tak łatwo było obalić. Ginetta poczynała już uczuwać zmęczenie, kiedy pewnego dnia zobaczyła przez okno, że mąż wraca do domu.

Przyszła jej do głowy myśl. Schowała się w swoim pokoju za portyerą.

Słyszała, że Klaudyusz szuka jej, ale nie zdradziła najlżejszym szelestem swej obecności.

Doktor wszedł do pokoju żony i upewniwszy się, że jest sam. podszedł do kominka, na którym stała oprawna w ramki fotografia Marion. Kilka minut wpatrywał się z zachwytem w tę podobiznę uroczej przyjaciółki Ginetty.

Potem z takiem skupieniem, jak gdyby wykonywał święty jakiś obrządek pochylił się i przycisnął usta do kartonu podobizny. Uczyniwszy to wyszedł z pokoju.

Ginetta wysunęła się cichutko ze swej kryjówki i udała się do jadalni, gdzie już zdradziecki mąż siedział przy stole w towarzystwie Janki.

— Ale gdzieżeś ty była?

Najnaturalniejszym w świecie tonem odparła:

— W moim pokoju.

I pełna wściekłej nienawiści syciła oczy widokiem mężowskiego zakłopotania. W tej chwili mogłaby z zimną krwią otruć Marion i patrzyć spokojnie na jej konanie.

Trzeba skończyć z tem wahaniem — zadecydowała — i zdobyć pewność.

Ginetta postanowiła wyciągnąć na słowa Grantouvra. Jest naiwny, gadatliwy, prawdopodobnie niedyskretny, z łatwością więc wygada się.

Wiedziała, że o godzinie czwartej stary artysta po odbyciu przechadzki powraca zwykle do swego mieszkania.

Pewnego dnia poszła na ulicę Lépic. Felicyta otwarła drzwi, wołając:

— Doskonale pani trafiła! Właśnie doktor jest u mojego pana.

Istotnie Klaudyusz, który przez sześć dni niewidział Marion i uczuwał za swą kochanką taką tęsknotę, z jaką łaknący człowiek pożąda wody, zapragnął porozmawiać z Fabiuszem. Zazdrość, z jaką odnosił się do malarza, rozpłynęła się w namiętnej chęci zbliżenia do niego.

Obaj sławili właśnie piękność, wdzięk i inteligencyę swego ideału, kiedy weszła brzydka żona, uzbrojona w swoje „face á mam".

Chwila zadziwienia i zakłopotania.

— Dzień dobry. Przeszkadzam, zdaje się, panom — zachichotała Ginetta — pewnie opowiadaliście sobie jakieś pikantne historyjki.

— Myli się pani — odparł łagodnie Grantouvre — mówiliśmy o tej biednej Marion.

— Biednej? Ależ przeciwnie, można ją uważać za bogatą... Osoba, która synowi w dniu ślubu wręczy sto tysięcy franków, nie jest przecież biedną.

Potem zwracając się do Klaudyusza, dodała:

— Cieszy mnie, że choć raz pozwolili ci wytchnąć twoi chorzy... To świetny traf, żeśmy oboje mieli tęsamą myśl...

— Nic w tem nadzwyczajnego. To dowodzi, że oboje mamy dla Grantouvra jednakową sympatye.

Stary artysta ceremonialnym ukłonem powitał panią Etiennant. Intuicyjnie wyczuwał w tem niespodziewanem spotkaniu małżonków coś niejasnego, niepokojącego. Nie mógł sobie jednak uświadomić o co to właściwie chodzi.

Nagle uderzył się w czoło.

— Ależ ja muszę wam pokazać moją ostatnią pracę. Portret, do którego model nie pozował. Och! to właściwie jest dopiero szkic, sądzę jednak, że oddaje charakter.

Pokazał im płótno średniej wielkości. Był to zachwycający portret Marion, uchwycony w chwili medytacyi napół swywolnej. Na jasnem tle blondynka w czerni, wyidealizowana jak damy Reynolda i realistyczna, jak postacie Terburga.

Ginetta zadrżała z gniewu i zazdrości. Zapanowała jednak nad sobą o tyle, że zdołała wypowiedzieć:

— Cudowna... Ochota... ma się ochotę ją pocałować!... Nieprawdaż. panowie?

— Fabiusz zapewne — uśmiechnął się doktor. Czuł się teraz dziwnie pewny siebie. Marion, cudna jak marzenie, spoglądająca z obrazu napełniała Klaudyusza dumą i ufnością we własne siły.

Dumnym był, że to on posiadł tę rzadką piękność, która natchnęła wielkiego artystę do stworzenia arcydzieła.

I ta jego pewność siebie zbiła z tropu Ginettę. Aluzya do fotografii nie wywarła żadnego wrażenia. Doktorowa mimowoli musiała zapytać samą siebie, czy jej się wówczas coś nie przywidziało.

Przyjrzeliście się państwo dobrze? — zapytał Grantouvre i obrócił obraz na stalugach.

Rozmowa ciągnęła się dalej, nieszczera, przymuszona. Ginetta czekała na odejście Klaudyusza, a Klaudyusz spodziewał się, że żona jego pójdzie sobie nareszcie.

Ostatecznie doktor pożegnał się pierwszy.

— Nie idziesz ze mną? — zapytał żony.

— Nie — odparła — jestem zmęczona i chcę pozostać jeszcze chwilkę u naszego kochanego Grantouvra. Chyba, że przeszkadzam gospodarzowi?

Ależ skądże znowu, droga pani, Felicyta poda nam herbatę.

Skoro zostali sami, pani Etiennant rzekła:

Zdaje mi się, że Marion w zupełności już pocieszyła się po śmierci Ksawerego.

— Co też pani mówi?!... Przedewszystkiem o Ksawerym wiadomo tylko tyle, że zaginął. Może niespodzianie powrócić lub dać znak życia.

Ginetta wzruszyła ramionami.

— To odnosi się zawsze wszystkim wdowom „wojennym".

— I słusznie im się to mówi, choćby w tym celu, aby postępowały rozsądnie.

Nie sądzę jednak ciągnęła dalej Ginetta, mieszając zawzięcie herbatę łyżeczką — żeby pański uroczy model miał postępować zbyt rozsądnie...

— Czy to przypuszczenie, czy obserwacya?

— I jedno i drugie. Temperamentu nie brak jej, oto podstawa do hipotezy. Dała Norbertowi Palaiseau swoją fotografię z czułą dedykacyą, to już obserwacya.

Z ciekawością śledziła wrażenie na twarzy starego artysty, ale Grantouvre zapytał prosto i krótko:

— Kto to jest ten Palaiseau?

— Ach! prawda, zapomniałam, że pan go nie zna. To jest wstrętny żydziak z biura ministeryalnego, ubrany w mundur oficera.

— A zatem to blaga!

— Jakto blaga?!

— Znam dobrze Marion. Ona nie zakocha się w takiem indywiduum! Ona jest patryotka! Ale Ginetta nie ustępowała.

— Patryotka!... Ona sobie kpi z wojny, jak wogóle ze wszystkiego, co nie jest jej pudelkiem pudru lub tubką różu! Jakież pan masz złudzenia, panie Grantouvre!

Grantouvre nie cierpiał Ginetty za jej brzydotę, a teraz z zadowoleniem konstatował, że stała się ona także złą i złośliwą. To potwierdzało jego idee o paraleli pomiędzy pięknością istoty moralnej i fizycznej.

Wzburzyło go to jednak, kiedy Ginetta oświadczyła:

— Trudno, abym pałała uwielbieniem dla tej kokietki, która chce mi zbałamucić męża. Tak, tak, pan nie spostrzega jej manewrów. Ona to czyni bardzo dyskretnie i zręcznie. Na szczęście mogę zaufać Klaudyuszowi. Proszę mi powiedzieć, co pan myśli o matce dorosłego syna, która stara się oderwać jego przyszłego teścia od obowiązków rodzinnych?

— To byłoby okropne, gdyby rzeczywiście miało miejsce! Ale tak nie jest.

Fabiusz mówił szczerze, przekonany o wysokiej szlachetności Marion.

— Pan nie chce wiedzieć. Pan sobie umyślnie przesłania oczy — ciągnęła dalej Ginetta — przykro panu bowiem, że pan poświęcił trzysta tysięcy franków dla awanturnicy.

Grantouvre zerwał się z krzesła, blady z gniewu.

— Droga pani posuwa się stanowczo za daleko! Ja uwielbiam i szanuję panią Darmelle! Albo zechce pani zmienić ton, albo ja odchodzę, by tego dłużej nie słuchać.

(Ciąg dalszy nastąpi)





Narada wojenna w oknie sklepowem **Rewolucya w Niemczech** Tank niemiecki na ulicach Berlina.

Ojciec Francyi.

Prezydent ministrów francuskich Clemenceau stał się obecnie ojcem Francyi. W jego ręku spoczywa honor narodu i na straży tego honoru stoi on niewzruszenie. Jak opisują pisma francuskie prezydent Clemenceau należy do ludzi bardzo żywo objawiających swój temperament. Na posiedzeniach konferencyi pokojowej jednak on jest milczący i skupiony w sobie. On jeden przedstawia tam żywioł nieugięty człowieka, który jedynie los swego narodu ma na uwadze i ani na włos od polityki narodowej nie odstąpi. Zaparł się na czas obrad swego żywego temperamentu, spokojny i zrównoważony liczy każde słowo, które wypowiada. Większość Francuzów odnosi się do niego z uwielbieniem a Niemcy nazywają go tygrysem.



Amerykanie w ojczyźnie: Lansing, amerykański sekretarz spraw zagranicznych.

W codziennem pożyciu bardzo skromny mieszka w niepozornym domku w Paryżu.

Przed kilkunastu dniami stał się Clemenceau ofiarą zamachu komunistycznego. Sprawcą zamachu był młody komunista Emil Cottin. Zamach nie udał się, gdyż strzały rewolwerowe raniły jedynie prezydenta, a z ran tych wyleczył się bardzo szybko.

Przebieg zamachu sam opisuje w następujący sposób:

Przejeżdżając samochodem koło miejsca, w którym ulica przecina bulwar Delisert, zobaczyłem na trotoarze człowieka, który uczynił na mnie dość niekorzystne wrażenie. Przypatrywał mi się bardzo dokładnie. Przemknęła mi myśl przez głowę, że ten człowiek coś przeciw mnie knuje. Gdy wczoraj przejeżdżałem przez to samo miejsce, zauważyłem tego samego człowieka, nie miałem już jednakże czasu na zastanowienie się, bo w tej chwili podniósł rękę do góry i wystrzelił z rewolweru, mierząc ku drzwiom samochodu. Kula rozbiła szybę w oknie drzwi i zdawało mi się, iż człowiek ów nie miał już więcej naboi w rewolwerze. Po strzale wychyliłem się przez okno, aby się przekonać, co się stało. Wtedy padło jeszcze kilka strzałów jeden po drugim. Uczułem w jednej chwili gwałtowny ból w ramieniu i w szyi. Musiałem krzyknąć. Byłem trafiony. To, co się potem stało, trwało już tylko przez chwilkę. Ordynans siedzący obok szofera, strzelił do sprawcy zamachu, szofer zaś przyspieszył jazdę, a znalazłszy się poza promieniem strzałów zawrócił i odwiózł mnie samochodem.



Amerykanie w ojczyźnie Powitanie przez Amerykanki w Nowym Jorku wojsk wracających.

Clemenceau wystąpił na konferencyi pokojowej jako przyjaciel Polski i szczerze popiera usiłowania rządu francuskiego do zapewnienia Polsce w zespole narodów takiego stanowiska, jakie jej się ze względu na jej przeszłość i zawsze przyjazny stosunek do Polski należy.





Barykady na ulicach Berlina. **Rewolucya w Niemczech:** „Tanki śmierci".

Kronika tygodniowa.

Uczono nas wprawdzie, że oglądanie się nie należy do objawów dobrego tonu i wychowania, ale kronikarz przyjmuje na siebie całą odpowiedzialność moralną za namówienie Czytelników do popełnienia tej życiowo-towarzyskiej zbrodni i zaproponuje, abyśmy się oglądnęli poza siebie i przypatrzyli, jak też w samej rzeczy spędziliśmy święta Wielkanocne, od których dzielą nas już prawie dwa tygodnie.

Zdaje mi się, że takich, którzy mogliby powiedzieć, iż nie pragną lepszych i weselszych, znajdzie się bardzo mało, bo wszystko tak się złożyło, aby się nam dać we znaki. Ale może to i lepiej. Tem dłużej będziemy pamiętać pierwsze święto Zmartwychwstania Pańskiego w zjednoczonej i samodzielnej Polsce.

Oprócz tych braków aprowizacyjnych, o których wspominałem w poprzedniej kronice, nie dopisała nawet i pogoda. W Wielką Niedzielę mieliśmy popołudniu deszcz, w poniedziałek deszcz ze śniegiem, a we wtorek, zapewne dla odmieny, sam śnieg i takie zimno, że poprostu nie chciało się nosa wystawić na ulicę, aby go nie odmrozić, gdyż byłby to wstyd nielada przetrzymać jakotako całą zimę, a dopiero przy samym końcu kwietnia nabawić się takiego paskudnego kłopotu.

Śnieg kwietniowy ma to do siebie że nie czeka zmiłowania Zakładu czyszczenia miasta, ale ginie zaraz pod wpływem dobroczynnych promieni wiosennego słońca, w każdym przecież razie nie dodaje fantazyi, ale psuje całą zabawę, zwłaszcza tym, którzy w poniedziałek wybierali się na Emaus, a we wtorek na Rękawkę.

Trzeba przyznać, że oba te obchody ludowe idą coraz bardziej w niepamięć. W miarę, jak idziemy naprzód z tak zwaną cywilizacyą i postępem, budzą one coraz mniej zainteresowania i kto wie, czy już w najbliższym czasie nie będą należeć do przeżytków, o których wspomni chyba kiedyś mimochodem jakiś kronikarz, nie mając pod ręką innego tematu.

A szkoda, gdyż dawniej oba te dni wiązały się ściśle z życiem krakowskiego mieszczaństwa, urządzającego pierwsze wycieczki zamiejskie, jedną na Sikornik, drugą na Krzemionki, co było wskazane nawet ze względu na szlachetne zdrowie, ile że w dawnych czasach święta Wielkanocne przeznaczone były w pierwszej linii na obżarstwo i pijaństwo, a wiadomo, że w tym wypadku spacerek na świeżem powietrzu i wdychiwanie go pełną piersią polecane bywa przez powagi lekarskie.

W roku bieżącym dalecy byliśmy od obu tych grzechów głównych, co nam może wyjść tylko na duchowy pożytek i z pewnością będzie kiedyś policzonem, więc też można się było obejść i bez tego tradycyjnego spaceru, choć, jak sam na swoje własne uszy stwierdziłem, prawdziwi miłośnicy Krakowa i jego tradycyi bynajmniej o nim nie zapomnieli.

W oba te dni słyszałem charakterystyczne tony trąbek odpustowych i świstawek, ale tak prasa codzienna, jak i zapiski policyjne stwierdzają, że nie było żadnego ożywienia, czyli, mówiąc językiem ludowym „nijakiej zabawy“.

Jeśli zaś kiedy, to właśnie w obecnych czasach byłoby bardzo wskazanem urządzenie tego rodzaju zabawy ludowej, jaką jest, dajmy na to, spinanie się po słupie, aby zdobyć kawał kiełbasy lub butelkę pocieszycielki. Jestem pewny, że w tym roku byłoby między ubiegającymi się o tak pożądaną nagrodę także i wielu inteligentów, którzy kiełbasę widzieli, ale tylko w oknie wystawowem masarni, jak zaś smakuje wódka lub wino, dawno już zapomnieli. Jedno tylko stawałoby im na przeszkodzie w wzięciu udziału w tym popisie zręczności... garderoba, zwłaszcza zaś ta jej część, na której samo wspomnienie każda stara panna się rumieni. A spinając się na słup, musi się być przygotowanym, że się skieruje na siebie setki par oczu tych, co na dole zostali.

Byłby to także jeden dowód więcej, że, dzięki wojnie, stosunki u nas zupełnie się zmieniły. Ci, którzy brali dawniej osobisty udział w tego rodzaju zabawach, dziś szukają innych rozrywek, bo, jak mówią, „stać ich na to“, owi zaś, będący dawniej tylko widzami, dziś bardzo chętnie zajęliby ich miejsce, gdyby tylko wiedzieli, że odniosą z tego jaką materyalną korzyść.

Stróżka z kamienicy, gdzie mieszkam, wybrała się we święta wraz z całą rodziną do teatru i to do loży, nic więc nie byłoby dziwnego, gdyby w tym samym czasie kronikarz był się spinał na słup, zdobył tam szczęśliwie kawał kiełbasy, a potem uraczył się nią wraz z swymi najbliższymi...

I dlatego źle zrobił krakowski magistrat, dziś najmiłościwiej rządzący i na Podgórzu, że zerwał zupełnie z dawnemi tradycyami.

Ale, co się stało, to się już nie odstanie!...

Ponieważ, jak się wyżej rzekło, aprowizacya przed świętami nie dopisała, można było bowiem zdobyć najwyżej trochę mąki poznańskiej i amerykańskiego smalcu, nie było w czasie obu dni świątecznych, nie różniących się zresztą niczem od powszednich, w domu co robić, wobec czego był wskazany spacer, a temu znów stanęła na przeszkodzie paskudna aura. Możnaby w ostatecznym wypadku odwiedzić kogoś znajomego, ale i to się nie opłaci, gdyż, albo się go w domu nie zastanie, albo, zastawszy, musi się być przygotowanym na całą litanię narzekań na ciężkie czasy, by goście przypadkiem nie myśleli, że się coś przed nimi postawi, prócz popielniczki, jeśli *nota bene* mają swoje własne papierosy i jeszcze gospodarza poczęstują. A na słuchanie narzekań czas nie jest odpowiedni, gdyż pora „gorzkich żali“ już minęła, a dziś powinniśmy się radować, nie płakać!

Siedziało się więc przeważnie w domu i urządzało medytacye, a nie były one bynajmniej wesołe, gdyż wiadomości, jakie nadeszły z szerokiego świata, brzmiały wcale poważnie i można było wyczytać między wierszami, że nie powinniśmy się zbyt łudzić nadziejami i zanadto wiele sobie obiecywać, co najwyżej, losy swe złożyć z ufnością w ręce Ligi narodów, która o nas z pewnością nie zapomni.

I teraz się widzi dopiero, jak poczciwie zrobili Czesi i Niemcy odcinając nas prawie zupełnie od reszty cywilizowanej Europy. Nie chcieli po prostu, byśmy się zbytnio martwili, na narzekania będzie bowiem dość czasu potem, gdy już ostatecznie klamka zapadnie.

Nie mając więc co zjeść, nie mając czem popić, już choćby tylko celem utopienia robaka, nie mogąc nawet z powodu niepogody nigdzie pójść a ponadto słysząc same niepożądane nowiny, nic dziwnego, że się święta spędziło nie tak, jak się było powinno i jak się obiecywało sobie „niech się tylko ta obrzydła wojna już raz skończy!“... Skończyła się *de nomine*, ale nie *de facto*, zwłaszcza dla nas, Polaków, a stosunki nie tylko nie poprawiają się zupełnie, ale, owszem, z dnia na dzień stają się coraz gorsze. Brakuje nam poprostu wszystkiego, co jest do życia potrzebne, a do tego przyłącza się jeszcze niepewność, co będzie jutro, czy przypadkiem nie gorzej?...

Czytając opisy, jak nasi przodkowie obchodzili święta Wielkanocne, przychodzimy do przekonania, że choć poszliśmy naprzód z postępem, przecież zostaliśmy daleko w tyle poza nimi i tem się chyba pocieszmy, że może przecież będą od nas szczęśliwsi bodaj nasi potomkowie. Bo, że my już prawdziwie dobrych i szczęśliwych czasów nie doczekamy, to jest prawie pewne.

Choć, powiedział pewien filozof, że się nie powinno chwalić dnia przed wieczorem, *ergo* też i nie ganić! Kto wie, czy i my sami tych, tak upragnionych lepszych czasów nie doczekamy. Zdawałoby się, że się na coś podobnego zanosi, gdyż ostatnie wiadomości, jakie już po świętach nadeszły z Paryża, brzmią jakoś pomyślniej i weselej.

Przedewszystkiem zaczął się już transport wojsk generała Hallera. Jechał i jechał, ale dojechać nie mógł, właściwie zaś wyjechać, tak, że się mogło wydawać, że go już nigdy między sobą nie zobaczymy. Ale, dzięki Bogu, jakoś udało się usunąć trudności, jak się zdawało nie do przezwyciężenia. Część tych wojsk, jak zapewniają ci, którzy je na własne oczy widzieli, należycie wyekwipowana, co zaś najważniejsze, pełna ducha i najlepszej myśli, jest już między nami, reszta zaś dąży w ślad za pierwszymi transportami.

Wstępuje więc otucha w serce, że będziemy mieć obronę przeciw wrogowi zewnętrznemu i w razie potrzeby potrafimy przytrzeć rogów i wewnętrznemu, który widocznie zagiął na to parol, aby wnieść w nasze społeczeństwo czynnik rozkładowy. Że jest to robota wrogów zewnętrznych, o tem niema dwu zdań, ale to najsmutniejsze, że są między nami jednostki, a nawet całe grupy, które podają im pomocną rękę, nie zdając sobie widocznie sprawy z tego, co czynią. Jako przykład niech posłużą bodaj tylko zajścia w Pińsku i wystąpienie żywiołów radykalnych przeciw stanowi wyjątkowemu w Królestwie Kongresowem, zaprowadzonemu tylko dla ochrony obywateli i porządku społecznego przed zarazą, zaglądającą do nas coraz śmielej od wschodu, a popieraną przez zachód, któremu na tem zależy, byśmy nigdy nie stanęli na swych własnych nogach. Jak się zaś wychodzi na popieraniu ruchu bolszewickiego, czują to dziś Niemcy na swej własnej skórze i dlatego, z życzliwości sąsiedzkiej, radziby byli i nas nim uraczyć.

Tak, jak bociany, które w tym czasie do nas zlatują, są zwiastunami wiosny, tak samo powrót wojsk Hallera do Polski ma być początkiem nowej, lepszej ery. A tak, jak na przyjęcie bocianów spadł śnieg, który jednak rychło zniknął z powierzchni ziemi, aby ustąpić miejsca wtozennej pogodzie, tak też i przybycie Hallerczyków poprzedziły niepomyślne wieści o zmianie sytuacyi, o ile to nas dotyczy, na gorsze. Rychło jednak nadeszły i pomyślniejsze, że konferencya pokojowa, widocznie przekonana przez Paderewskiego, uznaje nasze słuszne prawa co do Gdańska i innych zachodnich kresów i z pretensyami nie odsyła nas do Ligi narodów, ale w najbardziej wątpliwych kwestyach zgadza się w danych okolicach na plebiscyt. Tak zapewniają wieści, jakie w ostatnich czasach nadeszły z Paryża, a za ich potwierdzenie powinno się uważać wstrzymanie demobilizacyi we Francyi.

W dniu 25 kwietnia zaproszono przedstawicieli niemieckich do Wersalu, aby tam podpisali warunki przedwstępnego pokoju, które widocznie nie będą po ich myśli, skoro Francya chce być na wszelki wypadek gotową. Jak się stanie i co się stanie, to będą już Czytelnicy wiedzieć skądinąd, gdy kronikę dostaną w swe ręce, nie wie tego natomiast kronikarz w chwili pisania, ale przypuszcza, że warunki owe będą dla Niemców ciężkie, skoro koalicya przedsiębierze daleko idące środki ostrożności, by nie być zaskoczoną.

O ile to zaś nas dotyczy, sądzę, że w pierwszej linii stracą Gdańsk i Śląsk Górny, oraz część Prus, nie mówiąc już o Poznańskiem, do którego nie mogą sobie rościć ani etnograficznych ani historycznych pretensyi.

Czując nóż na gardle, gotowi się chwycić ostatniej deski ratunku i z bronią w ręku wystąpić przeciw koalicyi, która chyba się nie zlęknie i powiedziawszy „a“, powie i „b“... Dla Niemców, zdaje się, wybiła ostatnia godzina na zegarze dziejowym. Przyjdzie im zbierać owoce swej pracy i przekonać się, że fałszywą była ich myśl przewodnia z ostatnich lat dziesiątków „siła przed prawem“.

Również i na Śląsku Cieszyńskim ma być, jeśli można wierzyć tym pogłoskom, jakie nadchodzą z Paryża, przeprowadzony plebiscyt. Tego się zupełnie nie obawiamy. Musi wypaść po naszej myśli, a nie na korzyść Czechów, którzy, zdaje się też już zwąchali pismo nosem i widzą, że sprawa ich źle stoi, dlatego też zmieniają ton i, kto wie, czy nie zdecydują się ofiarować nam swojej przyjaźni, ale tylko po to, by uśpić naszą czujność i módz tem swobodniej przeprowadzić swe niecne machinacye za naszymi plecami. Zanadto prędko szli naprzód, teraz będzie przykro się wracać!

Że mają oni serce, tego dowiódł ów inkasent krakowskiej gazowni miejskiej, który sprzeniewierzył kilkadziesiąt tysięcy koron na szkodę gminy (dziwna rzecz, że go tam dotąd trzymano!... Bardzo wątpię, czy w którem mieście czeskiem pełni jakie funkcye urzędnik polskiej narodowości!) i z łupem swym wyjechał do ojczyzny, ale z Bogumina nadesłał na ręce dyrekcyi kartkę z pożegnaniem!... Żal mu było widocznie rozstawać się z miastem, gdzie mu było tak dobrze, dlatego też to pożegnanie na piśmie było tylko potrzebą jego serca. Załatwił ową potrzebę i wyjechał najspokojniej.

Nawiasem dodam, że w różnych instytucyach, tak cywilnych, jak wojskowych, mamy dość naszych otwartych wrogów, Czechów, Rusinów i Niemców, którzy tylko udają przyjaciół Polaków, gdyż im tu dobrze i mają co jeść, w gruncie rzeczy zaś utopiliby nas w łyżce wody i, gdzie mogą, działają na naszą niekorzyść. A władze naczelne albo tego nie widzą, albo widzieć nie chcą!

Może im bodaj w części otworzy oczy ów inkasent z gazowni miejskiej, który w swej ojczyźnie uchodzić będzie za bohatera, gdyż wroga powinno się niszczyć w wszelaki możliwy sposób. On niszczył materyalnie, gdyż mu z tem było najwygodniej i, powiedzmy, najbardziej... do twarzy!

Równocześnie i z ukraińskiego frontu nadchodzą pomyślniejsze wieści, co, biorąc razem z poprzedniemi, składać się musi na podniesienie ducha i ożywienie nadziei, że sprawa nasza wychodzi z martwego punktu, w jakim się dotąd znajdowała i przechyla na lepsze.

Jednem słowem, że zbliża się i dla nas wiosna, a jej zwiastunami są dla nas bociany-Hallerczyki!

Daj im Boże za to zdrowie i najlepsze powodzenie.

Powiedział mędrzec Pański, że „co Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza“.

Tak mówił mędrzec, ale zupełnie innego zdania byli Niemcy, o ile rozchodziło się o Polskę i Litwę. Gdy byli jeszcze u szczytu swej potęgi i nie wątpili bynajmniej, że zostaną panami całego świata, podsycali w własnym swym interesie ruch antipolski na Litwie, a na rękę szli im i galicyjscy Ukraińcy, którzy zabrali się do agitacyi wśród Białorusinów, choć ci nie przyznawali się bynajmniej do pokrewieństwa z hajdamakami. Po pogromie Rosyi rozsiedli się też Niemcy na Litwie, jak u siebie w domu i powiedzieli, że Litwa dla nich, bo oni jej potrzebują. Gdy się karta odwróciła i trzeba było się wynosić, zostawili zamiast siebie bodaj bolszewików.

Ale historya uczy, że najwięksi synowie Litwy byli dobrymi Polakami i za takich się uważali.

Z sali koncertowej.

Rita Sacchetto, rozgłośna tancerka, wystąpi z jednym wieczorem „Poematów tanecznych“ w niedzielę dnia 4 maja, w sali kasyna wojskowego, pozyskana przez „Krakowskie Biuro koncertowe E. Bujański“. Sławna z urody i z niezwykłej wytworności swych produkcyi, jest Rita Sacchetto jedną z najwybitniejszych współczesnych reprezentantek tańca wolnego, to jest niezależnego od prawideł klasycznej choreografii. Na wieczór krakowski wybrała sławna artystka jeden z najbardziej interesujących programów. Rozpocznie się on idylią pod tytułem „Wspomnienia po balu“ do znanej muzyki Gilleta, którą Sacchetto tańczy w kostyumie skopiowanym z portretu cesarzowej Eugenii, F. Winterhaltera. Następnie w stylowych kostyumach odtańczy Moszkowskiego: Fantazyę, Wändla: Largo, Liszta: Fantazyę siamską i Tarantellę. Na zakończenie zaś sławne tańce hiszpańskie w kostyumie Kastylijskim z epoki Velasqueza, w których znakomita artystka popisuje się swą nadzwyczajną techniką we władaniu kastanietami. Zapowiedziany wieczór wywołał u nas, jak było do przewidzenia, niezwykłe zainteresowanie.



Z sali koncertowej: Rita Sacchetto znana tancerka.

Rewolucya w Niemczech.

Upadek imperyalistycznych rządów Wilhelma stał się grobem dla Niemiec, potwierdzając zdanie, że wrosły one już w bagnet i żelazny hełm, tak że chcąc się z ich jarzma wyzwolić nie czują się swobodnymi. Dlatego kiedy opadły więzy utworzył się chaos, ryjący pod nogami przepaść. Wyzwolenie mogło przyjść jedynie drogą rewolucyi. To każdy wie i dobrze rozumie, że innego wyjścia niema, ale i rewolucya ma swoją utartą normę działania w ramach kultury XX. wieku.

Zerwanie wszelkich nici z despotyzmem wprowadziło w życie ruchliwą agitacyę bolszewicką, która z dnia na dzień wzbiera w nasileniu. A więc ogień, który wyszedł z Berlina, zajął i ulice Drezna, zawadził o Monachium, przewalił się tam. Dziś stajemy wobec stanu naprężenia wszystkich nerwów. Co chwila dowiadujemy się o zmaganiu rewolucyjnego rządu z komunistami, stającymi często u szczytu.

A jednak niemieckiego gadu nikt nie zgniecie? Przeszedłszy przez taką panikę wyobrażeń dochodzących i do absurdu, podnoszą zawsze dumną głowę, nie mogąc żadną miarą zrezygnować ze swoich uzurpacyjnych roszczeń.



Stolica Francyi: Sprawca zamachu na Clemenceau, Emil Cottin, po aresztowaniu

Dziś, wobec „całkowitego“ zdruzgotania sił niemieckich, stoimy na wulkanie, a generał Foch musi się przygotować do podpisania ugody pokojowej bagnetem.



Amerykanie w ojczyźnie: Wojska powracające z frontu wita Nowy Jork.

Subskrybujmy polską pożyczkę państwową.

Zagadki do nagrody.

Zadanie królewskie.
Ułożył Janko z Tarnowa.
(Zdarzenie polityczne z dziejów minionej wojny)

e	l	l	i	c
w	k	i	u	ś
s	i	m	z	e
o	w	w	b	r
j	e	a	n	a
o	p	i	o	w
k	o	r	k	o

Logogryf.
Ułożył R. D., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół poda rozwiązanie.

```
      ■
    — ■ —
  — — ■ — —
    — ■ —
      ■
    — ■
  — — ■ —
    — ■ —
    — ■ —
      ■
    — ■
  — — ■ — —
— — — ■ — — —
```

Znaczenie wyrazów: 1) Spółgłoska. 2) Rzeka w Niemczech. 3) Naczynie kuchenne. 4) Zwierzę domowe. 5) Spółgłoska. 6) Członek rodziny. 7) Zdrobniałe imię męskie. 8) Wykrzyknik. 9) Kości ryby. 10) Spółgłoska. 11) Znana ryba. 12) Instrumenty muzyczne. 13) Imię męskie używane szczególniej przez lud polski.

Łamigłówka.
Ułożył Z. K., Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą niebezpieczeństwo grożące coraz bardziej Europie.

```
   — ir
 m — ś
Cy —
 E — s
   — do
 A — o
st —
 a — t
   — an
 l — a
al
 E — a
   — to
 A — a
Se —
 s — m.
```

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył St. K., Jordanów.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:
1) - - e - - - a - a - o - a - a, - e - - a - a.
2) - o - a - o - u, - o - ie - - - y - a - ie -.

Trójkąt magiczny.
Ułożył J. Gagatek, Taruów.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy poda bardzo popularne dziś w Polsce nazwisko.

```
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ ■ ■ ■ ■
■ ■ ■ ■
■ ■ ■
■ ■
■
```

Znaczenie wyrazów: 1) Szukany wyraz. 2) Imię żeńskie. 3) Rzeka na Syberyi. 4) Prezydent Krakowa. 5) Francuskie nazwisko szlacheckie. 6) Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył H. B., Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Brama, góra, sanie, w.

Łamigłówka rachunkowa.
Ułożył S. Michalik, Kraków.

Podane cyfry tak uporządkować, aby w każdym kierunku, to jest w poziomym, pionowym, jak i obu przekątni utworzyły sumę 15.

1	2	3
4	5	6
7	8	9.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania powieść Przyborowskiego „Czerwona mara".

Rozwiązanie zagadek z Nru 16.

Zadanie do uzupełnienia. 1) Starość nie radość 2) Czem chata bogata, tem rada. 3) Jak kto może, tak orze.

Grzebieniówka: Woodrow Wilson.

Łamigłówka. Spisz, Sląsk, Orawa.

Zadanie do przestawienia. Wedle stawu grobla.

Zadanie do przestawienia. Co rok prorok.

Zadanie na rozsypane litery. Przysięga Tadeusza Kościuszki,

Zagadka na czasie. Okoń.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: K. Zawadzki Lwów, M. Golińska Tarnów, S. Bukowski Krosno, H. Maciejowska Rzeszów, J. Opolski Kraków, M. Zagórska Kraków, Z. Sperling Lwów, W. Bydliński Żywiec, H. Osadowski Rzeczyca, L. Kaczmarski Poddębie, J. Bilińska Kraków. H. Banke Kraków, S. Sieniutowicz Kraków, S. Janicki Warszawa, J. Kozłowski Przemyśl, J. Nowicki Lwów, S. Krzyżanowski Warszawa, G. Dankiewicz Wieliczka, H. Treter Łódź, M. Fiala Kraków, W. Borkowski Brzesko, Z. Walkowski Tarnów, Z. Lipski Zakopane, J. Rosenbaum Rzeszów, J. Bogusz Kraków, M. Broda Nowy Sącz, H. Radoń Kraków, J. Waksmundzki Harklowa, Z. Morawski Kraków, J. Łapiński Kraków, K. Suchy Cieszyn, K. Obst Lwów, W. Angermann Kraków, W. Rogalski Jasło, A. Gross Kraków, J. Wieczyński Warszawa, St. Kaliciński Lublin, M. Wisłocka Lwów, E. Nowak Kraków, J. Majer Tarnów, F. Frankowicz Jasło, M. Zaleska Kraków, S. Zabłocki Kraków, J. Górka Kraków. T. Nikiel Lwów, Z. Jastrzębska Warszawa, K. Guzik Kraków, M. Radoszewska Częstochowa, Z. Królikowski Lwów, J. Cisowski Warszawa, K. Wiluszówna Krosno.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Guzik, Kraków.** Po odbiór takowej należy się zgłosić osobiście.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor M. Lipińska Klisze własnego zakładu Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Madejskiego